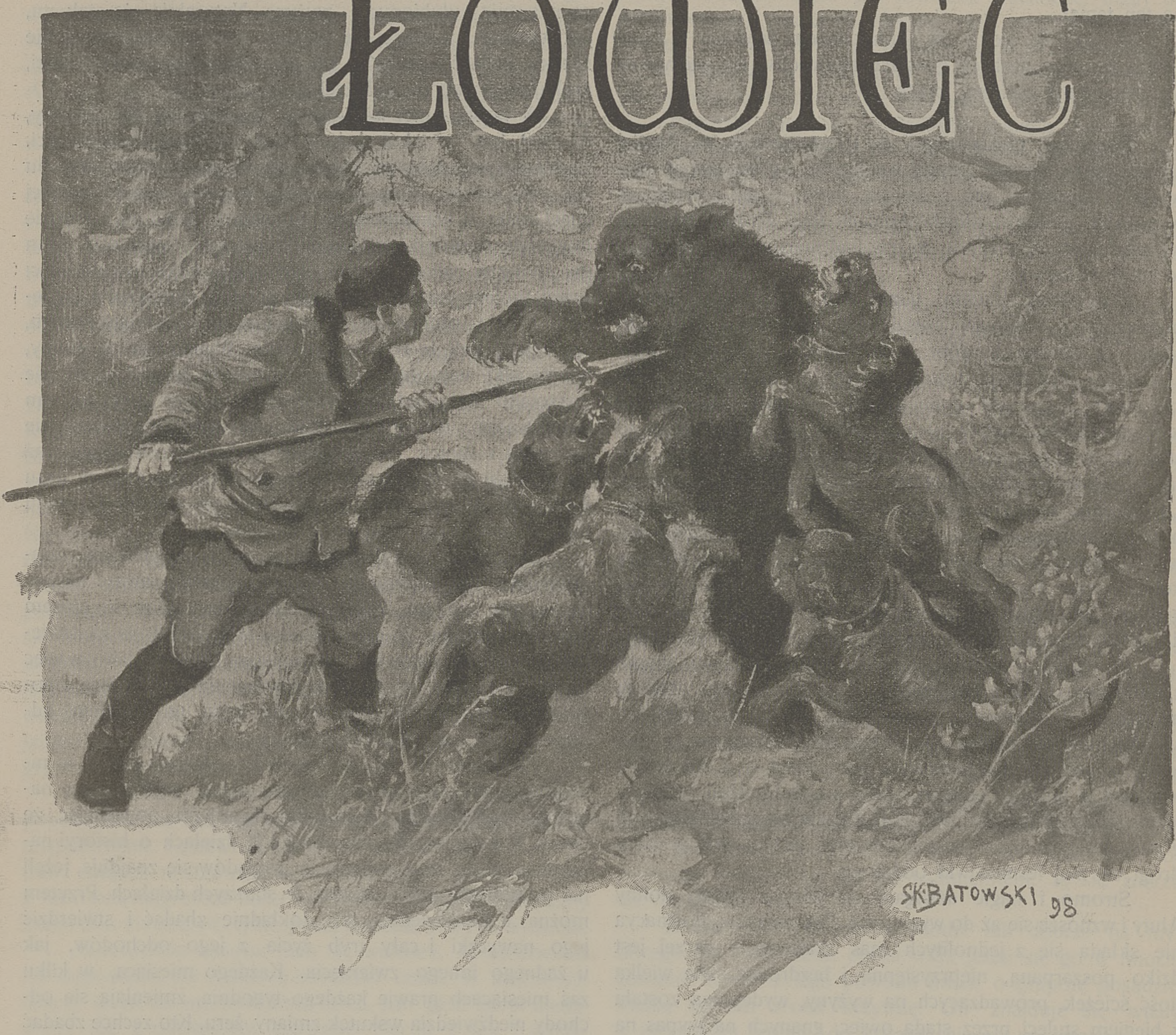
Nr. 14. Lwów, 16. lipca 1904. Rok XXVII.

ŁOWIEC



Wkładka roczna członka 10 koron = 10 marek = 5 rubli.

ORGAN GAL. TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO.

Wychodzi 1. i 16. każdego miesiąca.

Polowanie na niedźwiedzie w Siedmiogrodzie

przez

ALEKSANDRA FLORSTEDTA

z niemieckiego tłumaczył M. R.

Pod powyższym nagłówkiem okazał się w jednem z niemieckich pism łowieckich obszerny artykuł p. Aleksandra Florstedta, który zawiera wiele ciekawych szczegółów z życia niedźwiedzia siedmiogrodzkiego, jako też bardzo wyczerpujące opisy sposobów polowania nań a w końcu rzecz o broni, najprzydatniejszej do polowania na niedźwiedzia. Może być, że niektóre szczegóły z życia tamtejszych niedźwiedzi, obserwowane przez powyższego autora, różnią się od nawyczek naszego misia — ale właśnie ta okoliczność mogłaby dać temat do obszerniejszej dyskusyi w łamach Łowca dla naszych myśliwych, mających sposobność obserwować misia na wolności.

Kto wie, czy dni karpackiego misia nie są policzone. Kultura krocząc na wschód, wyparła już nie jeden rodzaj zwierzyny w dziedzinę podań i baśni. Chociaż to zda się nie prędko jeszcze nastąpi, ale rozprawy takie, prowadzone przez ludzi poważnych, na których sądzie możnaby polegać, mogą kiedyś stanowić cenne wskazówki dla badaczy w dziedzinie historyi naturalnej a dla myśliwego będą zawsze nader ciekawe.

Posiadamy Bogu dzięki, dość myśliwych, rozporządzających odpowiedniem wykształceniem i zasobnych w obfity

materyał doświadczeń, ażeby zapełnić mnogie szpalty Łowca na ten temat.

W przypuszczeniu, że tłumaczeniem artykułu p. Florstedta pobudzę naszych górskich nemrodów do odezwania się, podejmuję niniejszą pracę.

Podróżny, przybywający do Hermannstadu po długiej jeździe przez gorącą pusztę węgierską, spostrzega w niewielkiej odległości już z dworca kolei — jak również ze wszystkich punktów miasta, łańcuch gór. To Alpy transsylwańskie, których śnieżyste szczyty nad miastem się piętrzą — to moje państwo!

Z wielkim trudem udało mi się dostać prawo polowania w większej części Alp transsylwańskich, zarówno w obszarach dóbr państwowych, jakoteż w własnościach prywatnych lub gminnych — wśród nich rozrzuconych i z niemi graniczących — i mogę się cieszyć tem posiadaniem przez piękny szereg lat, o ile mi na to stan zdrowia pozwoli. Język miejscowy zwie te góry, górami Fogaraszskiemi; geografia Alpami transsylwańskiemi. Obszar tego terenu łowieckiego wynosi około pół miliona pruskich morgów. Można sobie wyrobić pojęcie o rozległości tego obszaru, jeżeli powiem, że trzeba jechać trzy godziny koleją, żeby przejechać go wzdłuż od jednej do drugiej granicy. Od południa tworzy granica rumuńska na całej długości równocześnie granicę polityczną i terenu łowieckiego.

W jednej z najpiękniejszych dolin „arpusiu mare“ zbudowałem sobie leśniczówkę i wiodę, prawie stale tu mieszkając i wspierany przez kilku dzielnych strzelców, skromny żywot trapera. Alpy transsylwańskie znane są jako jedne z najmniej zamieszkałych gór świata — i tak dwóch leśników w innych dolinach i ja tu z mymi ludźmi, jesteśmy jedynymi mieszkańcami tych gór. Zresztą nie znajdzie w tych górach istoty ludzkiej. Najbliższa wieś jest o dwie godziny drogi od mej leśniczówki oddaloną.

Stromo i nagle dźwigają się góry z żyznej doliny Ałuty i wznoszą się aż do wysokości 2600 metrów. Formacya nie składa się z jednolitych mas skalnych — raczej jest dziko poszarpaną, nieprzystępną i bezdrożną. Nie wielka ilość ścieżek, prowadzących na wyżyny, wydeptaną została z biegiem stuleci przez stada owiec, gnanych na wypas na połoniny, bez pomocy ludzkiej, to też stan ich urąga wszelkiemu opisowi. W najnowszych czasach urządziło „towarzystwo siedmiogrodzko-karpackie“ ścieżkę dla konnych na szczyt najwyższy „negoi“ w sposób prawdziwie genialny, która i damom umożliwia dość wygodne dostanie się tamże. Nawet globetrotterzy, którzy wiele podróżowali twierdzą, że Alpy transsylwańskie należą do najpiękniejszych gór świata.

Obszar ten gości okazy prawie wszystkiej zwierzyny europejskiej; mianowicie jest tu dobry stan kozic, niezły stan niedźwiedzi; mnóstwo dzików i ku memu wielkiemu zmartwieniu, znacznie ponad życzenia wilków i rysiów. Niniejszych słów kilka poświęcam niedźwiedziowi, najwspanialszej zwierzynie Siedmiogrodu. Miś jest w Siedmiogrodzie stanowczo mieszkańcem wyżyn. Głównemi miejscami jego pobytu są w partyach niedostępnych skał, zarośla karłowatej kosodrzewiny, conajmniej ale pas jodeł.

Jeżeli obrodzą dzikie owoce i żołędzie a na wyżynach mało jest żeru, to wtenczas, jakby w porozumieniu zjawiają się niedźwiedzie u podnóża gór, gnane potrzebą nie zaś własną ochotą — i rozkoszują się przez krótki czas, bo często tylko kilka dni — dzikimi owocami, śliwkami i żołędzią. Ale to zdarza się ledwie raz na lat dziesięć. Jeżeli bukwa obrodzi, nic nie jest w stanie zmusić niedźwiedzia do opuszczenia ulubionych wyżyn. Naturalnie że tak tu, jak wszędzie, zdarzają się wyjątki. Na wiosnę można nie rzadko znaleźć u podnóża gór tropy mniejszych niedźwiedzi, szukających żab po kałużach.

W pobliżu mej leśniczówki znajduje się gaj dębowy, na 100 km. w okół jedyny ślad zaginionej świetności. Cudowne lasy dębowe, które jeszcze przed kilkudziesięciu laty całą dolinę Ałuty pokrywały, musiały ustąpić ludzkiej chęci zysku i wandalizmowi tubylców. Tylko tu i ówdzie pozostałe samotniki świadczą o minionej świetności. Ten gaj słynie w całych górach, a w ciągu kilku dziesięcioleci przed mojem przybyciem zabito tu wiele niedźwiedzi. W jesieni 1903 r. zdarzył się, po raz pierwszy za mego pobytu, rzadki wypadek, że żołądź obrodziła. Wynająłem od gminy, właścicielki tego gaju, prawo zbierania żołędzi, żeby nie puszczano na żołądź swojskich świń i dużo sobie po tem obiecywałem; niestety napróżno! Ani jeden niedźwiedź nie korzystał z moich, zaiste serdecznych, zaprosin. Ponieważ na wyżynie w najwyższym pasie buczyny, na granicy pasu jodłowego, bukwa miernie obrodziła, nie wpadło żadnemu niedźwiedziowi na myśl zejść na dół.

Niedźwiedź jest dziwakiem w swych nawyczkach i upodobaniach. On niczego nie oblicza; prawie zawsze można się na nim zawieść. Także na kukurydzy, udaje się czasem ubić niedźwiedzia. Zawsze wchodzą tu w grę młode niedźwiedzice, wodzące piastuny, lub mniejsze niedźwiedzie; a więc wyjątki z reguły, gdyż każde stworzenie spełniające obowiązki macierzyńskie, wiedzie tryb życia od zwykłego odmienny; tak też i niedźwiedzica.

Za daleko by mię to zawiodło, gdybym chciał w niniejszej pogadance dłużej się rozwodzić nad historyą naturalną niedźwiedzia. Tyle tylko chciałbym powiedzieć, że nawet w najlepszych i najnowszych dziełach o historyi naturalnej, wiele nieprawdziwych poglądów się znajduje, jeżeli już pominiemy bajki zawarte w starszych dziełach. Przytem można u niedźwiedzia tak dokładnie zbadać i stwierdzić jego nawyczki i cały tryb życia z jego odchodów, jak u żadnego innego zwierzęcia. Każdego miesiąca, w kilku zaś miesiącach prawie każdego tygodnia, zmieniają się odchody niedźwiedzia wskutek zmiany żeru. Kto zechce zbadać uważnie odchody niedźwiedzia na wolności w puszczy, ten spostrzeże niejedno, co ujdzie uwagi uczonego badacza przed klatką niedźwiedzią w zwierzyńcu.

Tak naprzykład twierdzi wiele dzieł o historyi naturalnej, że niedźwiedź spożywa jagody leśne w ten sposób, że zrywa je pazurami z krzaków i łapą do paszczy niesie. To jest stanowczo błędne. Kto tego sam nie widział, temu powiedzą dokładnie liczne listki, zwłaszcza kamionki i czernic, w odchodach niedźwiedzia, że on nie posługuje się łapami i pazurami przy spożywaniu jagód, lecz objada jagody wprost wraz z liśćmi. Ja sam widziałem to często i mogę zapewnić, że niedźwiedź przy objadaniu jagód na wszystkich czterech łapach stoi i żeruje w ten sam sposób, jak n. p. pasąca się krowa. Nawet Edward Czynk, który za życia uchodził za pierwszą powagę i w dziele „die Hohe Jagd“ opracował rozdział „o niedźwiedziu“, jest zdania, że niedźwiedź jagody pazurami zrywa i łapą do paszczy niesie. Zdanie to jest mylnem, czego łatwo dowieść.

Stare niemieckie przysłowie mówi: „Powiedz mi, co jesz — a ja ci powiem, kim jesteś“. Jeżelibym to przysłowie do ciebie zastosował, kochany misiu, to musiałbym cię wobec czytelników w nieszczególnem świetle przedstawić. Ponieważ nie zaszczyciłeś mnie na tyle swem zaufaniem, by

mi zdradzić, czem się żywisz — i zmusiłeś mię do odgadywania tego z twych odchodów; postanowiłem następująco zmienić brzmienie powyżej przytoczonego przysłowia: „Pokaż mi swoje odchody, a ja ci powiem, kim jesteś". — A wtedy sąd mój brzmieć będzie: „stary nicpoń, wiodący żywot bardzo nieregularny, zawsze mrukliwy, niezadowolony z samego siebie!"

Czy można sobie wyobrazić coś wstrętniejszego, jak odchody niedźwiedzie z końcem października, kiedy owce z gór spędzono a w większej części lat o tej porze zaledwie nieco borówek, jarzębina i bujna trawa, na miejscach, gdzie owce były zamknięte, na jego menu się składają? zaiste trudno! Najpierw czop z trawy kalibru 8 cm., następnie strzał szrapnelowy zupełnie niestrawionej jarzębiny a na to wszystko, dla wzruszającej harmonii, obfite polanie niebieskawym sosem. „Stary hemoroidaryusz państwowy, złe trawienie, do Karlsbadu!" Tak brzmiałaby dyagnoza lekarska. A przy tem trawienie jego jest przysłowiowem! Szczególne! — W rzeczy samej żałuję, że nie mogę się zgodzić ze zdaniem uczonych i badaczy natury, którzy niedźwiedzia do omnivorów (wszystkojedzących) zaliczają. Niedźwiedź jest wszystkożrącym — ale bynajmniej wszystkotrawiącym! Według mego niemiarodajnego zapatrywania byłoby trawienie ważniejszem od spożywania. Żołędzie, jarzębina, kukurydza, jabłka, gruszki, bukwy i t. d. znajdują się w odchodach niedźwiedzich w stanie zupełnie nie strawionym — to też często zadawałem sobie pytanie, jak to jest możliwem, żeby tak potężny zwierz, jakim jest niedźwiedź, mógł się stale żywić niestrawnym żerem. N. p. jabłko w odchodach niedźwiedzich wygląda tak, jakby rozgryzione i wyplute.

Lis, kuna, nie mówiąc już o borsuku, trawią wyż wspomniane owoce dziesięćkrotnie lepiej a są przecież mięsożernemi. Naodwrót, z jakąż łatwością i jak znakomicie trawi żołądek niedźwiedzi największą ilość mięsa i przerabia z łatwością najgrubsze kości na wapnisty odchód, którychby żaden pies nie strawił, tylko przez jedzenie trawy je wydziela.

Mimowolnie nasuwa nam się wniosek, że niedźwiedź nie odpowiada już naszemu okresowi czasu. W niektórych latach, to aż żal myśliwskiemu sercu, jaki głód cierpi niedźwiedź już z początkiem listopada. Sucha trawa i szpilki jodłowe stanowią w tym czasie główny skład jego odchodów i widzimy, jak on z nerwowym pospiechem przewraca kamień za kamieniem, by wprowadzić choćby jakiego robaka do żołądka „ryczącego" z głodu. Rok 1902. był tak okropnym; na dwóch ścierwiskach zużyłem na żer około 50 koni.

Mój przyjaciel p. major Berger*) zabił przedemną jeszcze, w pobliżu mego obecnego mieszkania, niedźwiedzia, który był zdecydowanym mięsożercą i żywił się wyłącznie dzikami, które sam bił. Major Berger, który tygodniami tego niedźwiedzia ścigał, i co dnia był z nim w „styczności", twierdzi, że w odchodach niedźwiedzich było pełno szczeci dziczej i od czasu do czasu znajdował zabite przez tegoż dziki. Również stwierdził major Berger dokładnie na śniegu, że niedźwiedź sam dziki zabijał. W końcu udało się zabić niedźwiedzia, który budową znacznie się różnił od innych. Miał on dłuższe łapy, był lżejszej, kształtniejszej budowy i miał dłuższy, bardziej kończasty łeb. Budowa umożliwiała mu bicie dzików. Gdyby miś miał wolny wybór, byłby pewnie wyłącznie mięsożercą. Stan niedźwiedzi nie podniósł się w moich rewirach od dziesięciolecia pomimo, że ja się z niedźwiedziem ściśle po łowiecku obchodzę, nigdy do niedźwiedzicy, wodzącej piastuny nie strzeliłem i ustanowiłem czas ochronny od połowy maja do października. O dogodniejsze warunki bytu chyba trudno. Prawda, że po rumuńskiej stronie wiele niedźwiedzi łapie się w żelaza.

Bystrość zmysłów niedźwiedzia zanadto jest lekceważoną. Ja sądzę, że chyba nie ma żyjącego stworzenia, któreby taki wiatr miało, jak niedźwiedź. Również znakomicie rozwiniętym jest słuch jego a stanowczo uważam za bajkę, że niedźwiedź źle widzi, wskutek małego oka. Że niedźwiedź daleko lepiej rozpoznaje niż sarna lub kozica, o tem się niejednokrotnie przekonałem.

Siedząc na trybunie płoszyłem nieraz niedźwiedzie tak nieznacznemi poruszeniami, że nawet kapitalny jeleń byłby ich nie zauważył. Mniej inteligentny, nawet nieco głupkowaty wyraz twarzy niedźwiedzia łudzi bardzo badacza; niedźwiedź nie jest bynajmniej tak głupim, jak na to wygląda. Podchodząc w górach niedźwiedzia boso dziesięć razy, zastanie się dziewięć razy opuszczone legowisko. Chcieć podejść niedźwiedzia w trzewikach, ćwiokami nabitych, jest niemożliwością. Mojem zdaniem z wyjątkiem starego kapitalnego jelenia, nie dorównywa niedźwiedziowi bystrością zmysłów ani dzik ani też żadne inne zwierzę.

Teraz zabiorę się do mego właściwego tematu, to jest polowania na niedźwiedzia. Tu w Siedmiogrodzie polują na niedźwiedzia: z nagonką, na zasiadce przy padlinie, na podchodne, na zasiadce przy owczarniach i z psami.

O pierwszym sposobie nie da się wiele powiedzieć. Przy polowaniu z nagonką można tylko wtedy liczyć na pomyślny skutek, jeżeli jak wyżej wspomniałem, z powodu dobrego roku na dzikie owce i żołądź, więcej niedźwiedzi na jednem miejscu się ściągnęło. Wtedy polowanie nie wiele przedstawia trudności i pozwala się spodziewać pomyślnego wyniku. Ale jak już nadmieniłem, to się zdarza raz na dziesięć lat.

Żadna zwierzyna nie wychodzi tak dobrze na myśliwego jak niedźwiedź, chyba wilk, jeżeli się go w miocie dostanie. Ktoby z tego powodu misia o głupotę posądził, wielką by mu zrobił krzywdę. On znajduje się wtedy w nieznanym terenie, do którego nie jest przyzwyczajonym i w którym mu nieswojsko. Niedźwiedź wytrzymuje nagonkę dość blisko, ale potem w pełnym pędzie wypada na otwartą polankę, chociaż kilkanaście kroków w bok mógł sunąć gąszczem, lub sadzi drogą na wzdłuż, wiedziony jedną tylko myślą: „a teraz w nogi!".

Zupełnie inaczej zachowuje się niedźwiedź na wyżynach i w pasie jodeł, swej ojczyźnie. Tu podchodzi ostrożnie się skradając i stara się wymknąć, co mu się najczęściej udaje. Zwietrzywszy strzelców, uderza na nagonkę, nie dając się niczem powstrzymać. Na każdy wypadek jest rzadkością na wyżynach, by się niedźwiedź znalazł na rozkładzie przy polowaniu z nagonką.

Z przyjemnością wspominam jedno polowanie z nagonką na niedźwiedzie w górach sybińskich, prowadzone przez p. majora Bergera, znanego w Siedmiogrodzie pierwszego myśliwego na niedźwiedzie. Polowanie trwało już dzień cały i niejednokrotnie strzelano już do niedźwiedzi i dzików, ale na rozkładzie nic jeszcze nie było. Miano brać ostatni miot. My myśliwi — około 10 panów, zostaliśmy rozstawieni wzdłuż szerokiej łączki ku górze. Przed nami miano gnać zbocz porosłą dębami i gęstemi zaroślami. Za nami ciągnęła się w górę zbocz porosła gęsto młodą buczyną. Dolinka kończyła się u góry skałą, na której ja

*) Jeden z pierwszych myśliwych na grubego zwierza w Siedmiogrodzie.

otrzymałem stanowisko, jako ostatni na skrzydle. Do mego stanowiska wiodła droga parowem ujętym z obu stron drągowiną bukową, wzdłuż którego mogłem widzieć całą łączkę. Kiedy tak już godzinę stoimy i słychać już głosy nagonki, spostrzegam w dole łączki niedźwiedzicę z dwoma piastunami, pędzące jak zające, przez łączkę ku przeciwnej zboczy. Już znika niedźwiedzica, już jeden z piastunów, wtem ocknął się wreszcie myśliwy, rozległ się strzał i to z mojego, temu panu wypożyczonego sztućca i drugi piastun jak zając zmłynkował. Brawo! wymknęło mi się mimowolnie. Czy z powodu pięknego strzału, czy też, że niedźwiedzica uszła? Obie przyczyny usprawiedliwiają okrzyk.

Wtem widzę, jak wspaniały niedźwiedź dwoma skokami przesadza parów o 150 kroków poniżej mnie. Czekam w naprężeniu na wyzwalający strzał mego sąsiada, lecz cicho na dole; słyszę jak niedźwiedź w płynącym na dole, szerokim potoku pluszcze i wybiegam na szczyt skały, skąd mogę przejrzeć zbocz przeciwległą. W kilka sekund spostrzegam niedźwiedzia, przez gąszcz na wskos ku górze sunącego. Natychmiast strzelam — na strzał niedźwiedź strasznie rycząc stacza się na dół, ale zaraz się podnosi. Znów strzał — i ta sama jazda na dół z rykiem. Trzeci strzał ugodził w drąg, który złamał. Niedźwiedź ciężko ranny pomknął zboczą w górę, od czasu do czasu mrucząc. Odległość 300 kroków, 8 mm. pocisk płaszczykowy. Skoro nagonka się zbliżyła, wysłałem kilku z ludzi uzbrojonych w strzelby, kierując z mego stanowiska na miejsce postrzału. Skoro spostrzegli na postrzale obfitą farbę, poszli w pościg jak gończaki, nie zważając na me wołanie. Wnet oznajmiły dwa strzały (Fangschüsse), których sobie ci ludzie nigdy odmówić nie mogą, że kapitalny skonał. Jak piłkę gumową ekspedyowano wspaniałego, o ślicznem czarnem futrze, niedźwiedzia na dół. Oba moje strzały siedziały jeden nieco w lewo, drugi w prawo od grzbietu, blisko siebie i weszły skośnie ku przodowi. Nasze wierzchowce pozostawione opodal w dolinie, wyrwały się, słysząc ryk niedźwiedzia i pognały do domu, pozostawiając nam to samo do zrobienia. Tutejsze konie i woły znają niedźwiedzia i strasznie go się boją. Skoro następnego dnia chciano przywieźć niedźwiedzie, nie można było znaleźć koni, które by się dały zaprządz. Gdy sprowadzono woły, zachowały się z początku spokojnie. Już zaprzężone zwietrzyły raptem niedźwiedzie i wszystko druzgocąc rzuciły się naprzód, uszkadzając w dodatku dom po drodze.

Niedźwiedź trafiony nie znaczy jak inny zwierz, tylko rykiem. Przy bolesnych strzałach w kość, gryzie z rykiem ranione miejsce, podobnie jak lis. Jeżeli niedźwiedź po strzale nie zaryczy, można być prawie pewnym, że jest chybiony. Raz mi się tylko zdarzyło, że niedźwiedź trafiony nie zaryczał. Ten niedźwiedź został przez moje psy osadzony, był zatem w najwyższym stopniu rozdrażniony i rozwścieczony i otrzymał odemnie wysoki strzał w łopatkę przez centrum nerwów.

Ryk trafionego niedźwiedzia jest tak głęboki i potężny, daleko potężniejszy niż rykanie jelenia, że nowicyusza w polowaniu przejmie do szpiku kości, jeżeli nie posiada stalowych nerwów.

Innego rodzaju jest polowanie na zasiadkę przy zwierzu zabitym przez niedźwiedzia lub padlinie, umyślnie na przynętę rzuconej. Oba rodzaje różnią się znacznie, przy czem się przebiegłość niedźwiedzia dobitnie zaznacza.

Podczas gdy niedźwiedź w pierwszym wypadku mniej jest ostrożnym i o każdej porze dnia przy zabitem przez się zwierzęciu się zjawia, to ubicie niedźwiedzia przy padlinie przedstawia znaczne trudności. Ale i w pierwszym wypadku można tylko wtedy liczyć na pomyślny rezultat, jeżeli się zasiędzie na drzewie i trzeba to uczynić tak wcześnie, by ślad ludzki wywietrzał, lub jechać konno aż do „kanzlu".*) Niedźwiedź okrąża zawsze miejsce, na którem zabita sztuka leży i zbliża się pod wiatr. Lepiej jest zasiąść o kilkaset kroków i czekać aż trzaskanie kości oznajmi obecność misia a wtenczas podchodzić z największą ostrożnością. Trzaskanie kości słychać bardzo daleko. Dla mnie nie ma ten rodzaj polowania żadnego znaczenia, gdyż ja w lecie niedźwiedzi nie strzelam, tylko każę je ślepymi strzałami odpędzać, jeżeli robią szkody w stadach. Zwracam się zatem do zasiadki przy ścierwie.

W latach, w których niedźwiedź ma mało innego żeru, przyjmuje padlinę końską na dogodnem miejscu rzuconą, trzeciego lub czwartego dnia z pewnością i zaciąga ją w najbliższy niedostępny gąszcz. Drugiego konia, którego się na przynętę rzuca, należy dobrze przymocować do drzewa, tak żeby go niedźwiedź nie mógł pociągnąć. Z tem się miś nie zgadza i robi największe wysiłki, by padlinę oderwać. W końcu i do tego się przyzwyczaja. Ja kazałem sobie urządzić wysoko w pasie jodeł, kilka wygodnych budek na wysokości 4—5 metrów — na palach — przy samotnych małych łączkach — w miejscach dobrze skrytych, do których końskiem ścierwem niedźwiedzie przynęcam. Możnaby mniemać, że teraz już łatwa sprawa i że całkiem poprostu można teraz przynęconego niedźwiedzia z budki zabić. Ale o tem ani mowy.

Już przedtem wspomniałem, że niedźwiedź dokładnie rozróżnia, czy on sam powalił daną sztukę, czy nie. Nadto niedźwiedź nie zbliża się nigdy do ścierwa za dnia, tylko w ciemną noc. N. p. w noc księżycową tylko rankiem, lub po północy, gdy księżyc zajdzie. Tylko raz na wiosnę zdarzyło mi się, że się niedźwiedź zbliżył, kiedy jeszcze nieco światła było. Prócz tego niedźwiedź nietylko kilkakrotnie ścierwisko okrąża, ale idzie ścieżką, prowadzącą do ścierwiska kilkaset kroków i skoro tylko ślad ludzki spostrzeże, lub w ogóle coś podejrzanego zwietrzy, nie przyjdzie po prostu do ścierwa. To wszystko mogłem wyczytać w tropach na śniegu. Dla rui kozic stosują ten rodzaj polowania dopiero w listopadzie i grudniu, to też miałem nieraz sposobność studyować na śniegu najdokładniej nie do uwierzenia wielką chytrość niedźwiedzia, okrzyczanego za głupca. Jeżeli chcę w ten sposób zabić niedźwiedzia, wyposażam budkę we wszystko, co może uprzyjemnić kilkudniowe, dobrowolne więzienie. Nie otwierając nawet drzwi, przebywam wtenczas najczęściej kilka dni i nocy w budce, czego z pewnością nie każdy dokaże i co wymaga sporej dozy silnej woli.

Do wyposażenia należy oprócz obfitej spiży, piecyk naftowy. Pewnej nocy przyszły pojedynczo po sobie trzy niedźwiedzie, ale z powodu ciemności nie mogłem strzelić do żadnego. Innym razem przyszedł niedźwiedź i kiedy okrążył budkę, wytknąłem lufę do strzału przez strzelnicę. Gdy się miś znów ukazał, spostrzegł natychmiast lufę i mignął tylko, jak błyskawica, zanim mogłem strzelić. Później postrzeliłem śmiertelnie dwa kapitalne niedźwiedzie, co mię naturalnie bardzo zmartwiło. Pomimo, że dobrze farbowały, pozostały poszukiwania w tym trudnym terenie

---

*) Pozostawiamy niemiecką nazwę, gdyż Polacy nie polowali nigdy w ten sposób na niedźwiedzie, więc nie mamy na ten wyraz odpowiedniego polskiego terminu.

bezskuteczne, gdyż wtedy nie posiadałem jeszcze odpowiednich psów. Jakkolwiek udało mi się zabić w ten sposób kilka niedźwiedzi, nie zachwycam się tym rodzajem polowania. Nienawidzę strzału w nocy!. Tak jak w dzień potrafię dobrze kulę umieścić, tak w nocy wcale tego nie umiem. Najlepszą porą na polowanie tego rodzaju jest kwiecień i maj. W maju jest jeszcze futro niedźwiedzie w doskonałym stanie. (C. d. n.).



Z życia wrony i innych drapieżników.

Przed kilku dniami porwała wrona spore kaczę z małego stawku obok młyna. Niestety, nie miałem przy sobie broni, więc nie mogłem jej za to ukarać. Niedaleko od młyna usiadła na grządce i zaczęła obrabiać maleństwo ciosami dzióba. Spłoszona przez ludzi, pracujących w polu, odleciała niedaleko — ale wnet wróciła i obszukiwała miejsce, w którem kaczę pozostawiła. Kaczę, już nieżywe, podjęte przez robotników, miało szyję pokaleczoną.

Otóż mała ilustracya zbójeckiej działalności wrony.

W zbiorku nowelek Żerowskiego „Rozdziobią nas kruki wrony“ znajduje się śliczny szkic pod tytułem „zapomnienie“. Rzecz przedstawia autor, o ile mnie pamięć nie myli, w ten sposób. Chłopak wiejski, spostrzegłszy wronie gniazdo na drzewie, zdejmuje to gniazdo. Prześlicznym i do głębi wstrząsającym jest obraz rozpaczy wrony, która usiłuje naprzód bronić piskląt a potem boleśnie się żali, widząc zniszczone gniazdo i wybrane pisklęta. Wnet jednakże zapomnienie przynosi ulgę stroskanej matce. Rzecz pięknie pomyślana a jeszcze piękniej napisana — lecz niestety „licentia poetica“, gdyż z rzeczywistością się nie zgadza.

Miałem niedawno dowód, że wrony mają znakomitą pamięć krzywd im wyrządzonych. Mam od dawna zwyczaj, w porze lęgowej drapieżników, korzystając z chwil wolnych, odwiedzać pobliskie lasy i tępiąc co pod lufę wpadnie, ćwiczyć się w strzelaniu kulami. I tego roku zgładziłem już sporo wiewiórek, sojek, srok, wron i kilka bocianów.

Niedawno temu zbliżając się lasem ku tegoż krajowi, spostrzegam dwie wrony, w połowie drzew z gałęzi na gałąź przeskakujące. Las był szpilkowy a na kraju rosło kilka pojedynczych dębów. Gdy się tak skradam, widzę jak wiewiórka skacze z sosny na dąb i wspina się po nim. Wrony spostrzegłszy mię, odleciały kracząc na alarm. Podszedłszy do dębu widzę wiewiórkę — a po dokładniejszem przyjrzeniu się, na suchym konarze dwie młode — ale już wyrosłe wrony.

Po krótkim namyśle wznoszę Piperka i po strzale jedna z wron spada a druga niezgrabnie odlatuje, wiewiórka zaś cmokając trwożnie na szczyt się drapie. Drugi nabój do lufy — paf! — słyszę uderzenie kuli w ciało, ale wiewiórka przelatuje niejako z gałęzi na gałąź. Zdziwiony śledzę ją wzrokiem i za nią podążam — wreszcie siedzi — paf! — znów klaszczący głos kuli, ale wiewiórka dalej pomyka, aż wreszcie słabnie, chybia w skoku gałęzi i spada. Patrzę — wnętrzności na wierzchu i z tem ona przez kilkanaście drzew biegła. Od tego czasu zrobiłem doświadczenie, że wiewiórka z kilkoma strzałami w miękkie i z wywieszonemi zupełnie wnętrznościami — daleko jeszcze idzie, więc staram się zawsze w głowę trafić, ale to bardzo trudny cel, zwłaszcza na wysokości.

Wróćmy do wrony. Otóż ile razy zbliżam się do tej części lasu od pola, wnet jedna ze starych wron zaczyna krakać na alarm i śrubowato wznosi się ku górze — za nią podąża druga i tak długo za mną krążą i kraczą, aż się znacznie od miejsca tego oddalę, gdzie pozostała jeszcze młoda wrona przebywa. Jest to chyba dostatecznym powodem do przypuszczenia, że wrona krzywd jej wyrządzonych nie zapomina i wogóle pamięcią jest wyposażona.

Zdarzało mi się nawet często, że myśliwi, nawet nie dzisiejsi, robili mi wymówki z powodu strzelania wiewiórek. Otóż na usprawiedliwienie mego postępowania muszę przytoczyć, że wiewiórka jest nietylko wielką amatorką jajecznicy, a więc niszczy gniazda śpiewaków leśnych a w gaikach polowych i gniazda kuropatw — ale zdarzało mi się zauważyć, że ptaszęta z krzykiem odpędzały wiewiórkę od gniazda, w którem się już pisklęta wywiodły a więc zachodzi uzasadnione podejrzenie, że nietylko jajecznica, ale i potrawka z piskląt są jej również miłe.

Złoczów, 23. marca 1904.

Tydzień polowania na niedźwiedzie
w nowogrodzkiej gubernii.

Myśliwy zawsze z przyjemnością przypomina sobie te chwile, kiedy pierwsze stawiał kroki ze strzelbeczką na plecach, uganiając się czyto za szarakiem, tchórzliwie pierzchającym przed psami gończymi, czyto nawet często skradając się tylko do wrony lub jastrzębia.

Miłe to były czasy, gdy się wakacye tak wesoło w lesie lub na bagnie spędzało!

Jako opiekuna i profesora podczas tych licznych wypraw, przydanego miałem sobie starego oberłowczego Popławskiego. Typ to był wprawnego i skończonego myśliwego, jaki się teraz rzadko u nas trafić może, gdyż takiej zwierzyny i takiej jej ilości, knieje nasze litewskie już nie posiadają. Za pradziada był łowczym i wszystkiemi polowaniami on tylko kierował; znał więc i knieję na wylot, jak nikt, wiedząc kędy najlepszy przesmyk zwierza, gdzie toki najobfitsze głuszców i cietrzewi, gdzie wreszcie i na słonki stanąć trzeba — strzelał przytem wybornie.

Takiego miałem profesora; a srożył się i przeklinał, gdym młodzieńczym zapałem uniesion, zwierza przepłoszył lub do jakiego dubelta spudłował — co się często zdarzało. Najmilsze były czasem chwile wypoczynków.

Gdzieś na bagnie zasiadało się na większej kępinie, i wtedy, po wódeczce i wędlinie, zaczynał stary opowiadać o dawnych, lepszych czasach.

Najwięcej lubiał rozpowiadać o niedźwiedziach, których naówczas moc wielka była; zimą więc częste na nie urządzano łowy, a królewskie to łowy być musiały na tak wspaniałego zwierza.

Stary dużo ich w życiu zabił znakomitą swoją Lebiedówką; podobno miał ich z ośmdziesiąt na sumieniu, więc iluż to polowań, iluż to wydarzeń ciekawych się nasłuchałem. I lata pomału mijały. Stary towarzysz i przyjaciel dawno w grobie spoczął na leśnym cmentarzu, pod

szumiącemi białoruskiemi sosnami, a mnie się jeszcze nigdy nie natrafiła sposobność zapolowania na niedźwiedzia.

I oto nareszcie nadarzyła się tak upragniona okazya, dzięki łaskawie udzielonym mi wiadomościom i wskazówkom przez pana Lesieckiego, rządowego leśniczego tichwińskiego okręgu nowogrodzkiej gubernii.

Wyjechałem z domu z moim strzelcem Bolesławem 25. stycznia jadąc przez Petersburg do Czudowa — stacyi kolei mikołajewskiej — skąd 125 wiorst końmi pozostawało jeszcze do Tichwina. Z broni miałem, ulubionego starego i wypróbowanego Pieperka $^1/_2$ express kal. 450 z kulami expansywnemi i Mausera z kulami „Halbmantel“. W Czudowie stanęliśmy we wtorek 26. popołudniu i nie tracąc czasu niezwłocznie wsiedliśmy na czekające pocztowe sanie, zaprzężone w dzielną trójkę miejscowych małych rysaków. Rzeczy jako tako się poprzywiązywało i ruszyliśmy ostrym kłusem.

Na pierwszego niedźwiedzia polować miałem w okolicach wsi Ruguje, o 85 wiorst od stacyi kolei na trakcie tichwińskim. Jak na tamte strony, odległość to bardzo nieznaczna zwłaszcza zimą, gdy sanna dobra, a konie miejscowe znakomite.

Stacye pocztowe rozstawione gęsto i rzadko kiedy etap 20 wiorst przenosi; nie dziw więc, że zachęcony dobrym „na czaj“ woźnica pędzi jak wicher i często, większy nawet etap w godzinie przeleci.

Ruszyliśmy więc ostro z miejsca i ku wielkiemu mojemu zadowoleniu dowiedziałem się, iż droga wyborna — z poprzednich bowiem wiadomości wiedziałem, że i tam tegoroczna zima, jak i u nas, lekka, a śnieg kilka razy znikał.

Sanie duże i wygodne, z pudłem z tyłu na kształt kapoty, sunęły gładko po wyślizganej drodze, temperatura przytem całkiem łagodna, przyjemna i zupełny brak wiatru, usposabiały mnie dobrze dając nadzieję pomyślnego wyniku wyprawy.

Pierwszy raz będąc w Rosyi, ciekawie rozglądałem się dookoła podziwiając ładne, duże wsi, przez które przejeżdżałem, o dobrze budowanych wysoko parterowych, nawet i piętrowych często chatach, z firankami gdzieniegdzie w oknach i odznaczających się, po naszych biednych włościańskich lepiankach, dziwną stosunkowo czystością i porządkiem. Przekonałem się o tem później dokładnie w głębi kraju, gdy kilkakrotnie przychodziło mi w takich mieszkaniach wypoczywać lub nocować.

Bliżej Czudowa lasów mało. Gdzieniegdzie tylko obszary porośnięte rzadkimi, niskimi krzakami; latem widocznie pasze włościańskie.

Uderza mnie brak folwarków i w ogóle większych gospodarstw, ale tu obywatele głównie lasy tylko posiadają, mocno przytem wyniszczone, grunta zaś, liche, sapowate, albo leżą odłogiem, lub też między włościan rozparcelowane. Dopiero po trzeciej stacyi pocztowej, o czterdzieści kilka wiorst od kolei, poczynają się lasy i idą już dalej, bez większych przerw, aż do samego Tichwina.

Po drodze przejeżdżam obok dwóch wielkich fabryk zapałek, które ogromny dają zarobek ludności miejscowej, pochopniejszej do takiej pracy niż do uprawy bardzo niewdzięcznej roli.

W ogóle chłop mało się tam rolą zajmuje; idąc chętniej na zarobki, kobietom pozostawia gospodarstwo.

Do trzeciej stacyi jedzie się znakomitą i piękną szosą, potem ciągnie się trakt czyli gościniec, dobry, wijący się już bez przerwy lasami. Lasy to marne, zniszczone, porost ich co prawda piękny, sztuki jednak cienkie i podczas całego pobytu, pięknego drzewostanu nie widziałem. Od czasu do czasu bagna wielkie porośnięte łozą i brzeziną, prawdopodobnie łosi stolica, potem znów las lub krzaki. Dowiaduję się, iż łosi tu dużo, lecz głównie knieje te i bagna obfitują w ptactwo. Bardzo dużo tu pardw, głuszców i cietrzewi — wilków i rysi stosunkowo mało.

Przed północą dojechałem nareszcie do Ruguja, i zatrzymałem się u rządowego leśnika, u którego, dzięki uprzejmości pana leśniczego, znalazłem na piętrze dwa przygotowane, czyste i ciepłe pokoje. Po chwili zjawiło się dwóch brodatych chłopów, wywabionych z chat odgłosem dzwonków, obaj tropiciele, których zacząłem rozpytywać o polowanie. Pokazało się jednak, że choć mają w pobliżu dwa pewne niedźwiedzie, są one już myśliwym sprzedane. Rozpacz ogarniać mię już zaczynała, gdy nagle okazał się we drzwiach świeżo przybyły człowiek z Tichwina, donosząc, iż dla mnie zamówiony niedźwiedź znajduje się o 35 wiorst dalej i że polowanie obstalowane na jutro. Wyjaśniła się więc pomyłka i uradowany udałem się na spoczynek.

Nadszedł dzień upragniony, szary co prawda, alež jaki radosny.

Wychyliwszy parę szklanek herbaty, wcześnie z przewodnikiem ruszyliśmy z domu, spiesząc na punkt zborny, od którego tak bardzo jeszcze byliśmy oddaleni. Tymczasem po drodze zatrzymały nas sanie, ku nam jadące, z których wyskoczyło dwóch nowych tropicieli a właściwie kupców; oni to od tropicieli niedźwiedzie obłożone kupują, odsprzedając je potem myśliwym. Dowiedzieli się o moim przyjeździe i pospieszyli do mnie z usługami. Jeden ofiarowywał 8 niedźwiedzi pod samym Tichwinem, drugi aż 17 ale trochę dalej. Nie mając czasu na długie rozmowy, kazałem im jechać za sobą, odkładając ułożenie dalszych planów na wieczór.

Po przeszło dwugodzinnej jeździe, stanęliśmy we wsi Owincowo, gdzie nas oczekiwał tropiciel i zapuda, przeważnie z kobiet złożona. Przesiedliśmy się niezwłocznie na małe jednokonne saneczki i wjechaliśmy wkrótce, jadąc sznurkiem jeden za drugim, do kniei.

Śniegu według mnie dużo, choć innego zdania byli ludzie miejscowi, przyzwyczajeni do srogich bardzo, śnieżnych zim. Mnie jednak trochę wyżej kolan w lesie dochodził i szczęście prawdziwe żem na gorszą zimę nie trafił, bo chodzenie na łyżwach utrudniałoby mi znacznie polowanie, a silne mrozy dawałyby się srodze we znaki palcom i uszom, tak na polowaniu potrzebnym. Mieliśmy 7 wiorst do „krugu“ — ostępu. Tam oczekiwał mnie znów „okładczik“ (człowiek który dniem i nocą niedźwiedzia pilnuje, obchodząc ostęp w około) i wydeptaną ścieżką poprowadził mnie wzdłuż ostępu.

Idzie się jeden za drugim, stawiając stopy w trop przewodnika, a biorąc pod uwagę, że się ma niewygodne filce na nogach, długie tego rodzaju chodzenie bardzo jest uciążliwe, przy bardzo głębokim zaś śniegu wprost niemożliwe.

Uszliśmy tak z pół wiorsty, przedzierając się przez gąszcze liściastych młodniaków, łozą podszytych, gdy nareszcie przewodnik mój stanął i wskazał stanowisko.

Miejsce, pod względem wygodnego strzału, nie mogło być gorzej wybranem. Dookoła gąszcze zwarte i strzał możliwy tylko na krótką bardzo metę.

Zwracam mu na to uwagę zapytując, czy nie ma gdzie dalej lepszego punktu, tu bowiem mogę łatwo i do

strzału nie przyjść a trudno przecie, aby tak na pewno blisko mnie wyszedł. Na wszystko odpowiada mi, iż to miejsce jedyne, pewne, gdyż stoję na jesiennym przechodzie, las zresztą wszędzie jednaki. Musiałem pogodzić się z losem. Stanąłem tedy na wyznaczonem stanowisku i po westchnieniu do Św. Huberta, prosząc o kapkę szczęścia, począłem upatrywać sobie możliwe luczki do strzału.

Tymczasem zapudę pomału oprowadzano i podziwiać musiałem karność tych ludzi, zwłaszcza najczęściej tak niesfornie zachowujących się kobiet. Szli w głębokiem milczeniu i spokojnie zajmowali wyznaczone sobie miejsca. Było ich ze sto pięćdziesięcioro. Najbliższy odemnie zapudnik stał o kroków trzydzieści; za mną Bolesław z gotowym Mauserem. Z podwójnym sztucerem w ręku oczekiwałem hasła, pilnie wpatrując się w gąszcze.

Naraz rozległ się strzał jeden i zaraz za nim drugi i trzeci. Snać niedźwiedzia w barłogu doszli i ruszyli. Jednocześnie ryknęła i zapuda, ostęp okrążająca, nieustannym krzykiem witając hasło i nadając kierunek wypłoszonemu śpiochowi. Koło mnie cisza podstępna i oczekiwanie.

Stałem spokojnie, patrząc się w stronę, skąd spodziewałem się zwierza, gdy nagle poczułem rękę mego strzelca na ramieniu, znak że niedźwiedzia zoczył. Zobaczył go, jak szedł na nas od prawej strony, przystawając co chwila i strzygąc uszami. Aż i człowiek najbliżej mnie stojący zakrzyknął „Barin wot on" i ujrzałem go przed sobą na kroków 30, walącego już galopka na kulawy sztych.

W pierwszej luce przepuścić go musiałem, nie mając go dobrze na celu; przerzuciłem na drugą bliższą, ujrzałem tym razem dobrze komorę, strzał się rozległ i z rykiem niedźwiedź się zwalił. Posłałem mu ponownie kulę pod ucho i leżał bez tchu. Prześlicznego i dużego rudego niedźwiedzia miałem pod nogami — pierwszego niedźwiedzia, więc też i radość moja nie miała granic, a nadbiegli na strzały tropiciele, winszowali mi pięknej zdobyczy.

Wieczorem byłem już z powrotem w Ruguju, dokąd i misia mego wkrótce przywieźli.

Teraz myśleć już należało o jutrze i nowem polowaniu; rozmówiwszy się przeto z Jegorem, drugim kupcem i posiliwszy się nieco przywiezionymi z domu zapasami, wyjechaliśmy koło północy na jednego z jego ośmiu niedźwiedzi.

Mieliśmy małe, wygodne saneczki i 40 wiorst drogi przed sobą. Dróżka wąziutka w bok od gościńca, zagłębiała się w gąszcze i latem nieprzebyte bagna, znane na całą okolicę ze znakomitych toków cietrzewi. Gdzieniegdzie, pomimo nocy, ukazywały mi się porozrzucane z rzadka budki myśliwych, którzy tu wiosną, setki ich biją.

Jazda wydała mi się długa. Koni nie mienialiśmy wcale, lecz te nawykłe widocznie do większych odległości bez popasu, szły równego i raźnego kłusa. Z rzadka przejeżdżaliśmy przez wsi we śnie pogrążone, mijaliśmy je szybko, pozostawiając już za sobą ciszę, przerywaną szczekaniem czujnych ich stróżów i znów tonęliśmy w puszczy.

Przed piątą rano stanęliśmy u celu we wsi Kostryna, skąd niedaleko miał się znajdować duży niedźwiedź w lesie włościańskim. Mając jeszcze godzin kilka przed sobą, wyciągnąłem się smacznie na przyniesionem do izby sianie, by w ten sposób wypocząwszy, prędzej doczekać się ranka.

Do ostępu było wiorst kilka i znowu ujrzałem te same gąszcze przeklęte w około. Polowanie, podobnież do pierwszego, odbyć się miało z zapudą i w tym celu zebrało się narodu dość dużo. Tym razem przeważali mężczyzni, uzbrojeni tylko w siekiery i drągi. Stanowisko moje może jeszcze było gorsze od wczorajszego; żadnej porządniejszej luki dopatrzyć nie mogłem. Strzelać więc wypadało chyba przez krzaki, co zawsze bardzo niepewne; okładczik jednak zapewniał, że niedźwiedź przyjdzie mi pod nogi. Wiedząc już z wczorajszego doświadczenia, jak ci ludzie znakomicie stanowiska wybierają, posłusznie zająłem wskazane mi miejsce. Zaraz na początku, poznałem niedokładności w rozstawianiu i niedobre przygotowanie ludzi przed polowaniem. W żaden sposób uspokoić ich nie było można. Nawet na stanowiskach jeszcze głośno rozmawiali, a takich kilku krzykaczy miałem w samem sąsiedztwie. Irytowało mnie to okropnie, ale cóż było robić, zwłaszcza, że polowanie lada chwilę rozpocząć się miało. Rzeczywiście nie długo przyszło mi na strzał czekać i według moich przypuszczeń cała nagonka od razu bez wyjątku krzyczeć poczęła. Krzyczeli dalsi, krzyczeli również i bliżej mnie stojący. Nadaremnie groziłem im pięścią i milczenie nakazywałem. Tak minęła długa chwila a niedźwiedź, nie wiedzący widocznie w którą stronę się skierować, nie wychodził. Już przypuszczałem, że polowanie całe chybiło, gdy nagle przedemną rozległ się okrzyk trwogi człowieka i groźny pomruk niedźwiedzia. Zwróciłem szybko oczy w tę stronę i oczom moim po chwili przedstawił się przerażający widok. Przodem zmykał tropiciel bez czapki, z rozwianymi włosami, za nim tuż, tuż, kolosalnych rozmiarów niedźwiedź: i raptem ukazała mi się ta bestya w całej swej okazałości, na zadnich łapach, przedniemi, starając się pochwycić ofiarę.

W obec gąszczów, o strzale nie mogło być mowy. Ujrzałem wyraźnie ruch niedźwiedzia, ale musiałem pozostać tylko biernym widzem całej tej krótkiej, przedemną rozgrywającej się sceny. Człowiek tymczasem, przypadkowym widocznie tylko ruchem, uniknął straszliwego ciosu, niedźwiedź zaś, porzuciwszy dalszą gonitwę, puścił się na przełaj krzakami. Strzeliłem dwukrotnie z przyrzutu ale... bez skutku. Ręce mi drzały. Widząc, że zwierz dalej umyka, chwyciłem za Mausera i w nadarzającej się szczęśliwym trafem wąziutkiej luczce, posłałem mu ostatnią kulę w komorę.

Tym razem kula nie chybiła celu i niedźwiedź dał znak; nie zatrzymała jednak jego impetu i po chwili zniknął mi z oczu. Natychmiast poszliśmy za tropem i ukazała się nam, w miejscu trzeciego strzału, obfita, komorowa farba, strumieniem z obu boków tryskająca.

Trzeba się było zatrzymać i naradzić jak dalej postępować; zjawił się też zaraz i tropiciel szczęśliwy, blady jeszcze, lecz cały. Nie pierwszy to raz znajdował się w takich opałach i z jednego podobnego spotkania pozostały mu widoczne ślady na głowie i brak dwóch palców u ręki. (C. d. n.).

Na stanowisku.

Zima w roku 1901 przyprowadziła prawdziwie wszystkich myśliwych z zawodu, a jeszcze bardziej tak zwanych „Sontagsjägerów" do rozpaczy. Dzień w dzień oczekiwano mrozu i śniegu, który ani rusz nie chciał się jawić, za to wszakże, jak na przekór wszelkim Nemrodom, deszcz co dzień a błota po uszy i zamiast się cieszyć dobrem polowaniem na „ponowie", ze smutnym wzrokiem, utkwionym

w drużkę dubeltówkę, cisnąć się wypadało w ciepły kącik koło pieca i cieszyć się nadzieją, iż przecież może raz mróz i śnieg będzie.

Najbardziej wszakże martwił się p. nadleśniczy N. N. w Ż... Na dzień bowiem 11. stycznia 1901 zapowiedziano w jego rewirze, okrągło 200 morgów lasu obejmującego, wielkie urzędowe polowanie. 7., 8., 9. deszcz, droga nie do przebycia, aż dopiero dnia 10. ostry północny wiatr osuszył błoto w kilku godzinach, wieczór zaczął padać śnieg, a rano oczom przedstawiał się wspaniały krajobraz — prawdziwie zimowy! Mróz i śnieg!

Na gwałt przysposabiano sanie do jazdy do lasu i w najlepszym humorze zajęto pierwsze stanowisko. Pukanina nielada — zwierza dosyć, ale czy to pod wpływem radości z tak prędkiej zmiany powietrza, czy też z powodu innego, chybiano wyśmienicie ku wielkiemu żalowi i uciesze zarazem zacnego p. nadleśniczego. Żal mu bowiem było, że strzelcy źle strzelają, bo obawiał się, że preliminowanej ilości sztuk nie osięgnie, cieszył się zaś, iż te jego ukochane wychowanki leśne tak zręcznie z obwodu zabójczego śrótu uciec zdołały.

Pomimo tych niepowodzeń w doskonałym humorze dosięgnięto miotu śniadaniowego, przy którym ku ogólnej uciesze pojedyncze grupy strzelców i nagonki amatorskim aparatem fotograficznym zdjęte zostały, poczem w najlepszym humorze i nadziei, że prawdziwa rozkosz dla myśliwych dopiero nadchodzi, ruszono do dalszych kniei, stanowiących niejako komorę zwierzyny. I rzeczywiście zajęcy, rogaczy podostatkiem a nawet p. Dzik dał się widzieć, tak iż z każdego miotu strzelcy z dobrze zagrzanemi lufami strzelb wychodzili, liczba zaś preliminowana już przekroczoną została a tu jeszcze jeden tryb ostatni, klin lasu, polem otoczonego, tam dopiero stanowiska dobre.

Ledwie strzelcy stanęli, pogonka ruszyła, rozpoczęła się prawdziwa pukanina — w tem słysz — naraz strzały ustają, pogonka zdumiona przyspiesza kroku, w dolinie nie słychać zwykłego: huś! ha!

Strzelcy zbiegają ze swoich stanowisk w miejsce, gdzie obok silnego, zastrzelonego kozła leżał zacny p. nadleśniczy nieżywy! Po dwukrotnym strzale danym z dubeltówki nadleśniczego, na uwagę sąsiada p. hr. D., iż zastrzeloną sztuką może nie jest kozioł, lecz koza (był już zmrok), p. nadleśniczy do położonej zwierzyny schylił się i z okrzykiem „ależ kozioł“ zwalił się z nóg i wyzionął ducha na stanowisku.

Smutny to był powrót z polowania i smutne zakończenie tak gorąco oczekiwanego „na ponowie“ polowania! Trzeciego dnia rozbrzmiały dzwony kościelne i cerkiewne na ostatnią drogę zmarłemu. I żegnały go tysiące ludu zgromadzonego, bo i chłop umie uszanować pamięć zacnego człowieka i okoliczna inteligencya licznie zgromadzona a na ozdobionych świerkami saniach, zaprzężonych w cztery konie, trumna pokryta wieńcami, kryjąca zwłoki gorliwego kierownika przedwczorajszego polowania.

Mowca z ambony kościelnej wspomniał pracę i czynności zmarłego w życiu publicznem, szczególnie w r. 1863, gdy za ojczyznę w szeregach narodowych walczył, drugi zaś nad grobem otwartym podniósł jego wierną i uczciwą, 38-letnią służbę w jednym i tym samym skarbie. Podnosił jego pełne zalet postępowanie z ludźmi obydwóch narodowości, dziękował za uznanie, okazane sprawieniem wspaniałego pogrzebu przez pp. służbodawców, wszelako żaden z nich nie wspomniał o tem, iż zmarły i w ostatniem tchnieniu był wierny zasadom swoim i oddał życie swoje w służbie: Na stanowisku!

Dziś na stanowisku tem w lesie stoi wkopany słup dębowy na pamiątkę tego, który tu życie zakończył i na chwałę ludzi pracy, którzy chociaż na stanowisku zależnem pracują, to aż do ostatniego tchu wierni są zasadom swoim, wierni w służbie, pełnią obowiązki swoje do śmierci!

Spokój Mu!

Moja Molly.

Urodziła się w listopadzie, na Śląsku w roku 1902, skąd przybyła ze mną, odbywając podróż przeważnie w kieszeni mojej marynarki, a że jest jamniczką z najczystszego rodu karzełków, więc waży 9 funtów. Jest ona maści czarnej, rdzawo-podpalona a choć wielka pieszczocha o jedwabnym, miękkim włosie i malutka, to jednak ma większe zalety, jakby się na pozór wydawało. Cel wyhodowania jamnika karzełka, to jak wiadomo króliki. U nas ich prawie niema, więc dla mnie Molly przedstawiała mimo piękności, darmozjada. W sztucznych jamach dusiła i wywlekała króliki swojskie z pasyą i przyjemnością. Nie lubię trzymać psów bezużytecznych, chciałem więc przekonać się, czy moja Molly do lisiej jamy pójść zechce. Z wiosną dano mi znać o młodych lisach w lesie.

Ruszyłem tedy z moją zapisaną, opatrzoną papierami szambelańskimi, na łowy. Leśny uśmiechnął się z politowaniem, zobaczywszy malutkiego pieska, który w nim zaufania nie obudził. Jamy znajdują się w pagórze, a właściwie z dwóch stron cypla pagórkowatego, porośniętego lasem i krzewami, okien zaś mają bez końca po obu stronach jego. Żałowałem, że nie miałem prowodyra dla debiutantki, no, ale trudno.

Puściłem suczkę, obwąchała przeróżne pióra przed oknami i resztę biesiad lisich, zajrzała do okna i znikła w krużgankach podziemnych.

Ciekawe to, że prócz piór od kur swojskich i bażantek, oraz łupek z ich jaj, prócz turzycy i nogi źrebięcia, wywleczonej z pogrzebowiska niedalekiego, znajdowały się też szczątki z dwóch prosiątek, porwanych chłopu w biały dzień z pod chałupy. W tem Molly głosi, słyszę hałas piekielny pod ziemią i gonienie. Brawo! Polowanie rozpoczęte. Notabene z jednej strony pagórka stał leśny, z drugiej ja, przedzieleni cyplem, w którym odbywa się polowanie. Głos się oddala, wojna nie na żarty, potem cichnie, aż nagle słyszę głos Molly na wierzchu, po tamtej stronie góry. Krótkie szczekanie ustało, chwila ciszy i wtem dwa strzały, potem znów dwa i jeden. O, myślę sobie, to kanonada nie na żarty, biegnę za pagór i tu dowiaduję się od rozpromienionego leśnego, że cztery niedoliski wybiegły z jednego okna, dwa z drugiego, za nimi tryumfująca Molly, wszystko to jednak znikło napowrót w innych oknach pod ziemią, a strzelić nie mógł, bo bał się sukę trafić. Za chwilę jednak wyparła je mężnie w trzech zawodach z różnych okien, wtedy też począł strzelać, a podczas nabijania wypadła stara liszka i niestety salwowała futro w gąszczach.

Jednego lisiaka brak jest do rachunku, leśny sumituje się, że postrzelony wpadł tam do tego okna. Biorę Molly, która tymczasem szarpała trupy i puszczam ją do wskazanego okna. Zaraz rozlega się szczekanie, potem warczenie, w końcu poszczek i sapanie. Za chwilę widzę w głębi ogon Molly i rozparte tylne nogi, cofające się z tru-

dem i wreszcie ona cała ciągnie za kitę niedoliska już martwego. Brawo! Molly, doskonale, a więc nietylko na króliki jesteś.

Ponieważ suczka jest mądra i pojętna, postanowiłem jej spróbować na farbę. Od 15. maja jeździła ze mną na rogacze, a ile razy zabiłem sarnika, robiłem sztuczną włókę, Molly zaś na pasku szła doskonale za tropem.

Jednego wieczora szaro już było, gdy strzeliłem do rogacza, stojącego nad potokiem, zarośniętym olszyną o bystrych brzegach. Farby nie mogłem odnaleść, bo ciemno, a uczucie miałem, że rogacz trafiony. Ruszam Molly w trop, wkrótce potem znika, biegnę w to miejsce i widzę ją na rogaczu, leżącym w potoku. Uradowałem się niesłychanie, bo egzamin odbył się z odznaczeniem.

W czerwcu siedziałem na zasiadkę znów na rogacza, Molly przy mnie, a siedzi cichutko i uważnie. Wreszcie wychodzi upragniony, a że bliziutko wyszedł i nie widziałem swojej bohaterki przy trafionym, ale żywym jeszcze rogaczu, postanowiłem trafić go miękko. Rzecz udała się wybornie. Rogacz wierżgnął, głowę spuścił i znikł w galopie w gąszczu. W pół godziny później, puszczam Molly na trop. Znikła jak duch w zaroślach i zaraz potem słyszę, szczeka. Biegnę tam, jak mogę przedzierając się przez gąszcze, aż wreszcie przyszedłem za blisko, rogacz ruszył, a Molly głosem za nim. Lecz gon trwał krótko i znów szukanie w miejscu. Skradam się więc ostrożnie i widzę małą suczkę, nacierającą na rogacza leżącego koło drzewa. Rogacz żył i obojętnie patrzał przed siebie. Molly zobaczywszy mnie tuż przy sobie, nabrała odwagi i zrobiwszy wypad, szczypnęła rogacza w zad. Wtedy postrzałek wstał, w tej samej chwili strzeliłem do niego w kark, a Molly już siedziała na nim. Radość moja była niezwykła, raz, że Molly tak dzielnie się spisała, a powtóre, że rogacz miał wspaniałe parostki ósmaka nieparzystego.

Czy Molly jest ładna i rasowa, niech objaśni to, że na wiedeńskiej wystawie jamników, otrzymała trzy nagrody, jako jedenasto-miesięczna suczka. Oto czyny bohaterskie mojej pieszczochy, Miss Molly Bown.

A. Sumiński.

Odczyt

Dra Sołowija na Walnem Zgromadzeniu Tow. łowieckiego, dnia 2 lipca 1904.

(Dokończenie.)

Przypomnieć sobie tu pozwolę, że nasza dziś obowiązująca ustawa daje wyraźnie prawo odszkodowania za tego rodzaju szkody. Jeżeli rzecz jest tak postanowioną, że poszkodowany ma prawo żądać zwrotu szkody, nie rozumiem, dlaczego ma się poszkodowanemu przyznawać prawo polowania na tym odgrodzonym obszarze, jak skoro to nie będzie polowaniem, tylko będzie strzelaniem do tego jednego zająca, który w pewnym roku przy silnych zaspach śniegowych dostał się do ogrodzonego miejsca. Zresztą w rzeczywistości będzie to faktycznie polowaniem na zewnątrz poza tem ogrodzeniem, będzie kłusownictwem, kradzieżą i niszczeniem zwierzyny.

Podnosi p. Żardecki dalszy postulat a mianowicie kwestyę wydzierżawiania prawa polowania. Żądanie p. Żardeckiego kulminuje w tem, że on nie mając zaufania do władzy administracyjnej, która obecnie wydzierżawia prawo polowania, chciałby tę czynność poruczyć gminie. Mnie się zdaje, że bez ujmy zupełnie dla organów autonomicznych, bez uwłaczania przełożonym gmin naszych możemy śmiało twierdzić, że mamy więcej zaufania do władzy administracyjnej, aniżeli do wójtów.

W końcu w kwestyi policyi łowieckiej i w kwestyi najważniejszej, tj. szkód, zajął p. Żardecki znowu stanowisko całkiem dziwne i niezrozumiałe, którego nawet interesem ludności nie można usprawiedliwić.

Mianowicie w kwestyi żądania odszkodowania chciałby wniosek p. Żardeckiego wprowadzić całkiem nowy czynnik a mianowicie detaksatorów gminnych, którzy wyrobili sobie już u nas pewną ujemną markę. Nadto znosi projekt p. Żardeckiego wszelkie ograniczenie zabijania zwierzyny i zakaz handlu zwierzyną.

Toby były w głównych zarysach postulaty wniosku p. Żardeckiego.

Sądzę, żem się nie pomylił, twierdząc, że tendencya i myśl przewodnia tego wniosku są zupełnie przejrzyste, że ci panowie nie walczą o żadne zasadnicze stanowisko, nie walczą w imię teoretycznej zasady, ale idą po prostu na wypaczenie istniejącej ustawy, na skasowanie łowiectwa nie wprost z odchyloną przyłbicą, ale drogą uboczną, przez wykoszlawienie pojęć i przepisów ustawy.

Projekt ten pozwolę sobie skrytykować jeszcze z innych, czysto pedagogicznych motywów. Jeżeli raz w nieuregulowane stosunki wprowadzi się ład i porządek, to reprezentantom pewnej sfery interesów, im bardziej ta sfera jest nieoświecona, im bardziej potrzebuje zastępców i prowadzenia, nie wolno podnosić pewnych haseł, które potem wśród tej sfery ludności ferment wywołać mogą. Jeżeli się skasuje przepisy, które mówią, że nie wolno wybierać jaj i gniazd ptasich, to się równocześnie otwiera wrota nieposzanowaniu cudzej własności, które się mścić będzie na drzewkach owocowych, na zbożu, na snopie i na drzewie w lesie. Rzeczą reprezentanta ludu jest zastępować słuszne i sprawiedliwe żądania, zadaniem jego wieść ten lud do światła i prawdy. Propagowanie anarchii prawnej jest wręcz niewłaściwe i zdrożne.

Kwestyę odszkodowania za szkody, wyrządzone przez zwierzynę poruszyło wielu mowców w Sejmie. P. Skołyszewski, przemawiając en bloc za wnioskiem p. Żardeckiego, zacytował między innymi przepis ustawy czeskiej, mianowicie §. 46. tej ustawy. Przepis dla mnie na pierwszy rzut oka bardzo sympatyczny i dziwić się muszę pewnej niekonsekwencyi, dlaczego podnosząc tego rodzaju bardzo rozsądny przepis, konsekwentnie nie żądał p. Skołyszewski także wprowadzenia tego przepisu i do naszej ustawy.

Mianowicie w Czechach istnieją sądy rozjemcze dla osądzenia szkód wyrządzonych przez zwierzynę, które na tem polegają, że gminy wybierają, względnie władza administracyjna pierwszej instancyi mianuje na każdą gminę przełożonego sądu rozjemczego i w chwili, gdy wypadek szkody ma miejsce, ów przewodniczący, do którego się zażalenie wnosi, wzywa obie strony interesowane, aby wybrały sobie po dwóch swoich zastępców, jako członków sądu rozjemczego. Wówczas ten sąd rozjemczy rozpatruje szkodę i orzeka o cyfrze i o fakcie istnienia szkody.

Instytucya to bardzo rozsądna i nawet lepsza, aniżeli dziś obowiązujący system, w każdym zaś razie jest to rzecz, którąby się nadawała do dyskusyi.

I znowu myśl rzuconą porzucił p. Skołyszewski i stanął na stanowisku p. Żardeckiego, który powiada, że to jego nie zadawala, on chciałby koniecznie, aby interesowani nie

mieli prawa rekurowania od orzeczenia detaksatorów, on chciałby, aby detaksatorowie gminni samoistnie i samodzielnie, bez wysłuchania poszkodowanych, o szkodzie wyrokowali.

W tym stanie rzeczy wydaje mi się, że ten projekt reformy, tak jak on został zainscenowany w Sejmie, nie ma warunków bytu i istnienia, że to jest jakaś jednostka egzystencyi, której nie dano podstaw do dojrzenia, że to będzie roślina, która jeszcze nie ujrzawszy światła dziennego, uschnie i zginie. A zginąć powinna dla tego, że stoimy dopiero u wstępu, u progu postępu na polu łowiectwa.

Że reforma ustawy łowieckiej niewątpliwie będzie potrzebną i to już w najbliższej przyszłości, że ta reforma powinna być wynikiem potrzeb rzeczywistych i ludności i myśliwych, że powinna być wyrazem tych cywilizacyjnych momentów, jakie są podkładem i warunkiem stworzenia każdego ustawodawstwa, o tem chyba nie wątpimy.

Już dawno bowiem minęły zamierzchłe czasy owych borów odwiecznych, przepełnionych dzikiemi zwierzętami, czasy owej walki o byt, toczonej wśród lasów ze zwierzyną, czasy zupełnej swobody polowania. Skończyły się i czasy późniejsze, gdy prawo polowania było przywilejem panujących, skończyły się i czasy dalsze, kiedy było przywilejem stanowym pewnej warstwy społecznej. Skończyły się wreszcie czasy zupełnej swobody polowania, która wyniszczyła zwierzynę w całej prawie Europie.

Uregulowane stosunki własności publicznej i prywatnej, rozwój cywilizacyjny stosunków wniósł także i w łowiectwo potrzeby norm ustawowych i jakiegoś ładu. Powstało w całym świecie ustawodawstwo łowieckie, a z niem razem podniosła się i zakwitła kultura łowiecka. I byłoby wielkim, bardzo wielkim błędem z naszej strony, gdybyśmy na pierwsze hasło reformy, rzucone ze strony przeciwnej, mieli obawiać się tej reformy. Obawiać się reformy nie potrzebujemy, walczyć potrzeba tylko przeciw reformie złej.

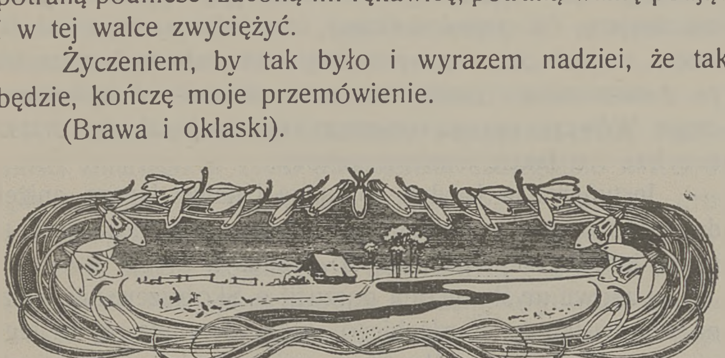
I zdaje mi się, że jeżeli ta sprawa w końcu dojrzeje i stanie się aktualną, gdy kiedyś przyjdzie pod obrady Sejmu, to znajdzie się w Sejmie większość, którą dzisiejsi wnioskodawcy tak bardzo w tej kwestyi krytykują, znajdzie się i poczucie sprawiedliwości i słuszności, dyktowane głosem rozumnym, które każą zgodzić się większości na reformę, ale na reformę, która nie będzie przeciwną kulturze łowieckiej i duchowi dziś obowiązującej ustawy.

Zdaje mi się, że także i w szeregach braci łowieckiej, w drużynach myśliwskich, znajdzie się rozsądne zrozumienie tam, gdzie chodzi o słuszne, uprawnione żądania, i bezwątpienia potrafimy stanąć w obronie tych, którzy przez wykonywanie praw łowiectwa są ukróceni i poszkodowani.

Jak długo stają ci panowie z hasłem tępienia zwierzyny, z hasłem negacyi kultury łowieckiej, tak długo cała drużyna myśliwska i nasze krajowe ciało ustawodawcze potrafią podnieść rzuconą im rękawicę, potrafią walkę podjąć i w tej walce zwyciężyć.

Życzeniem, by tak było i wyrazem nadziei, że tak będzie, kończę moje przemówienie.

(Brawa i oklaski).



Z obcych światów.

Przez pustynie Azyi.

Taki tytuł nosi książka wydana przez uczonego Szweda, Dr. Sven Hedina po odbytej przez niego ostatniej podróży przez całą długość Azyi. Jesto jedno z najciekawszych dzieł pod względem naukowym, jakoteż najwięcej zajmujących pod względem literackim, jakie się w ostatnich latach na półkach księgarskich okazały. Dr. Hedin podróżował z Petersburga do Pekinu 4 lata. W Orenburgu pożegnał się z koleją żelazną. Odtąd odbywał on swoją podróż pocztą, wielbłądami, konno i pieszo. Przebrnął tak bezkresne stepy kirgizkie i Turkiestanu, przedarł się przez płaskowzgórze Pamiru, zwane „dachem świata“ gdzie tygodniami robił swe badania naukowe na wysokości tej samej, co szczyt Montblanc'u, przeszedł część tajemniczego Tybetu, Chiny, a dotarłszy do Pekinu, wybrał się z powrotem do Europy na Mandżuryę, Mongolię i Syberyę.

Z 10.500 klm. które Dr. Hedin odbył wzdłuż Azyi, 3200 klm. obejmuje przestrzeń zupełnie dotąd nieznaną. Jakkolwiek podróż uczonego Szweda przedsiębraną była głównie w celach badań geograficznych i topograficznych, to przecież podróżnik ten pisze także dużo w swem dziele o faunie poznanych przez niego obszarów i kreśli barwnie kilka myśliwskich epizodów.

Kilka najciekawszych dla łowca kart z tego działu, podajemy poniżej:

Jezioro, wzdłuż którego dziś szliśmy, miało wodę słoną, o temperaturze 5° (w powietrzu równocześnie 15°). Kształt jego był wydłużony a wąski, miejscami znajdowały się małe laguny o błotnistym brzegu. Jezioro zwężało się w zatokę, której wody zamulał czerwony szlam rzeki. Nad lewym brzegiem wznoszą się miękkie pagórki z gliny, grunt też jest rozmiękły, a nasze objuczone zwierzęta posuwają się z trudem naprzód. Dzikie osły spotykaliśmy coraz częściej, ale w tak znacznej odległości, że nie było mowy o strzelaniu. Innego zdania był, co prawda, Joldasz. Wielką radość sprawiało mu gonienie za temi zwierzętami, a choć wracał zziajany, z wywieszonym językiem, powtarzał swój manewr za każdym razem.

Komicznem było jego zachowanie się, gdy ujrzał dzikie osły. Nadstawiał uszu i patrzył przez chwilę na nie błyszczącem okiem, nie ruszając się z miejsca. Potem skradał się ku nim powoli i pędził wreszcie jak strzała.

Gdy przybyliśmy do miejsca wypoczynku, psa brakło. Początkowo sądziłem, że zmęczył się i wróci z wielbłądami, ale i te przyszły bez Joldasza. Moi ludzie widzieli go po raz ostatni, gdy zniknął za górą w pościgu za osłami. Obawiałem się, czy zapuściwszy się za daleko, nie stracił śladu karawany i nie zabłądził. Wysłałem jednego z ludzi za nim, ale ten wrócił z niczem.

Nadszedł wieczór. Po pracy położyłem się spać i muszę wyznać, że uczułem brak wiernego towarzysza. Nad ranem obudziło mnie coś i proszę wyobrazić sobie moje zdziwienie, gdy ujrzałem przed sobą Joldasza, machającego ogonem i skowyczącego z radości. Był tak zmęczonym, że nie chciał nic jeść i z westchnieniem ulgi rzucił się na posłanie.

Dnia 28 sierpnia mieliśmy teren wcale równy, w okolicy nie brakło pastwisk, a dzikie osły zjawiały się nawet w małych stadkach. Jeden z nich, piękne brunatne zwie-

rzę, biegł przed nami z zadartym ogonem przez dwie godziny, zawsze w przyzwoitem oddaleniu. Przystanąwszy, odwracał się, spoglądał na nas przez chwilę i wydawał charakterystyczny, chrapliwy głos. Gdy zbliżyliśmy się zanadto, biegł znów. Jeden z naszych wielkich psów zaczął go gonić. Atoli osieł, zamiast przelęknąć się, przystanął, gdy ujrzał psa. Pies również zatrzymał się, nie wiedząc, co począć. Widocznie rozweseliło to osła, bo wziął na odwagę i puścił się prosto na psa. Ten uciekł zawstydzony, z podwiniętym ogonem ku karawanie.

Zaraz po południu nadciągnęła burza, połączona z gradem. Zjawia się ona codziennie z taką dokładnością czasu, jakby według regularnie idącego zegarka.

W końcu zboczyliśmy ku południowemu wschodowi, ku zielonym, ponętnym pagórkom, i tu znaleźliśmy małe jezioro o wodzie nie bardzo słonej, ale zato niesmacznej. Rozbiliśmy obóz; Islam poszedł na polowanie, ale wrócił z próżnemi rękoma. Wieczór był spokojny, żaden głos nie dochodził do naszego ucha. Byliśmy sami w tej pustce.

(C. d. n.).

Posiedzenie Wydziału dnia 1. lipca 1904.

Przewodniczy Wiceprezes Juliusz hr. Bielski. Obecni: Wiceprezes Seweryn Krogulski, pp. Stanisław Matkowski, Dr. Stanisław Miziewicz, Edward Münter, Tadeusz Klusik-Orzechowski, Dr. Władysław Sołowij i Stanisław Piegłowski. Protokół z ostatniego posiedzenia przyjęto, poczem zabiera głos p. Krogulski i zdaje sprawę z czynności biura i ze stanu sprawy nominacyi delegatów, co do których propozycye nadeszły dopiero z 18 powiatów. Przedstawia następnie pomyślny stan kasy. Z kolei omawiano sprawę memoryału, wniesionego do c. k. Namiestnictwa co do ochrony łowiectwa, który jeszcze załatwiony nie został i ułożono propozycyę co do wyboru członków Wydziału i zastępców w miejsce ustępujących.

W końcu zawiadamia Wiceprezes Krogulski o udzieleniu ex praesidio zezwolenia na odstrzelenie 15 kóz w Barszczowicach.

KRONIKA.

Czarna krzyżówka. „Der deutsche Jäger“ podaje, że niedawno temu pewien myśliwy zastrzelił nad Menem czarną jak węgiel, dziką kaczkę. Myślano z początku, że to jest egzemplarz jakiegoś osobnego gatunku polarnych kaczek, ale wiarogodni znawcy orzekli, że to jest najprawdziwsza kaczka krzyżówka a tylko figlarna przyroda ubarwiła ją swym pędzlem na kolor węglowo-czarny.

Sprostowanie.

W wykazie premiowego strzelania, umieszczonym w Nr. 13. zaszła omyłka, mianowicie przy 6-tem strzelaniu wziął 1-szą nagrodę p. Edmund Rylski, a nie jak mylnie wydrukowano p. Henryk Prek.

Wszelkie najnowsze systemy!

STÓR i ŻALUZYI

do okien

polcca najstarsza krajowa fabryka firmy

Story stare i żaluzye przyjmuje się do przerobienia. Cenniki ilustrowane gratis i opłatnie.

W. ADAMSKI (dawniej Jürgens)

Lwów, Sobieskiego l. 4.

Alfred Dzikowski

c. i k. nadworny dostawca.

Lwów, ul. Karola Ludwika l. 1.



→ Główny magazyn i fabryka ←

broni myśliwskiej

odszczególniona na wystawach krajowych:
Dyplomem honorowym Wys. c. k. Ministerstwa handlu i 10-ma medalami zasługi
poleca znakomitą

BROŃ MYŚLIWSKĄ

jako to

Lankastrówki z kurkami i bez kurków. Sztućce, Expresy, pojedyncze i podwójne. Trzylówki lankaster, iglicowe i hamerles. Iglicówki Teschnera. W. Collatha. Rewolwery, pistolety, floberty i t. d.

Jedyny skład fabr. łusek nabojowych i patronów ostrych, niemniej

Przybory myśliwskie i łowieckie

po cenach najtańszych.

Kalendarzyk bankowy wysyłamy bezpłatnie. Polecamy naszą firmę do wszelkich transakcyi, wchodzących w zakres bankowy, Schütz i Chajes, Dom bankowy, Lwów, plac Maryacki 7.

K. Zieliński

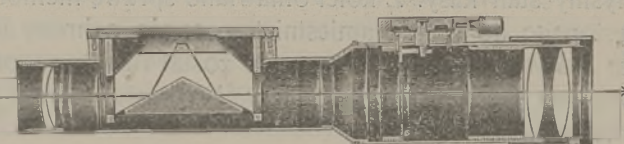
optyk i mechanik

Kraków A. B. l. 39.

Poleca P. T. myśliwym najnowsze binokle



pryzmatyczne o jednej „Penta-Pryzmie“ przewyższające swemi znakomitemi zaletami, t. j. nie osiągniętą przez **żadne** inne siłą światła i dużem polu widzenia, wszelkie inne tym podobne wyroby.



Cała długość 20 cm.

Na szczególną uwagę zasługują lunety do broni kulowej, jedyna konstrukcya jaka temu celowi wszechstronnie odpowiada.

Cena kor. 130·—.

Prospekt na żądanie odwrotnie.

KAZIMIERZ BIELCZYK

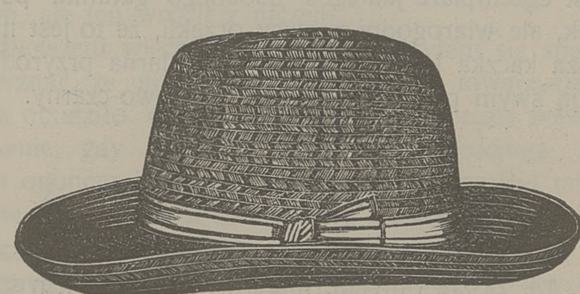
poleca **Lwów, Halicka 21.** poleca

kapelusze, czapki, sztylpy

— i —

Kalosze petersburskie.





Cennik illustrowany na żądanie franco.

Wydawnictwo gal. Tow. łowieckiego. Redaktor odpowiedzialny: Ludwik Józefowicz.